

Tomasz
Michniewicz

CHAR
OBR
OT

Życie
najwykolejszych
ludzi
świata



Każda książka musi się gdzieś zacząć. Ta niech się zacznie w Finlandii. Noc, dom w lesie, wokół pustka. Za oknem tylko świerki, zorza polarna i śnieg. W środku chłopiec, lat sześć. Ma na imię Mika.

... i w Kolumbii. Tropikalna karaibska Buenaventura. Portowe zaułki, zgiełk, muzyka do rana i wszechobecne czary. Juanita kaszle. Ta ciągnęła wilgoć w powietrzu roznosi choroby.

... i w Japonii. Kanae właśnie kończy hoikuen. Żłobek, przedszkole, zerówka – wszystko w jednym. Za chwilę wejdzie w świat mundurków, krawatów i lekcji, podczas których uczeń nie ma prawa odezwać się ani słowem.

... i w Ugandzie.

... i w Kalkucie w Indiach.

... i w Springfield w stanie Missouri, w środkowych Stanach Zjednoczonych.

... i w zimbabweńskim buszu, gdzie przed domem biegają słonie, a noce spędza się pod gwiazdami, uważając, żeby hyeny nie podeszły zbyt blisko zwabione zapachem jedzenia.

Siedmioro dzieci w podobnym wieku, siedem różnych miejsc. Będą dorastać w tym samym czasie, ale nigdy się nie spotkają.

Dziś są już dorośli. Zwykli ludzie. Tacy, jakich mijamy na ulicy.

Nic szczególnego.

Jeśli o kimkolwiek można powiedzieć, że jest zwykłym człowiekiem.

Każde mogło urodzić się gdzieś indziej, pójść inną drogą. Jedno z nich będzie się opiekować czworgiem dzieci, a inne na dzieci nie będzie mieć czasu. Któreś zostanie szefem międzynarodowej firmy, któreś poświęci się w imię miłości. Zrealizują marzenia albo nie, ruszą dalej lub będą trwać w tym samym miejscu. Zobaczymy.

Opowiedzą o swoim życiu tak, jak je zapamiętali. Pamięć czasem się myli, czasem przekrzywia. Pamięć nie opowiada historii. Raczej urwane strzępki, impresje, echa. Bywa, że nie dostrzega tego, co najważniejsze, albo dużo zostawia domysłom.

Zdarza się, że wierzymy we wspomnienia świata, który nigdy nie istniał.

A czasem mamy pewność, że istnieje, ale wolimy o nim nie pamiętać.

*Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione
w tej książce są prawdziwe... o ile prawdą jest to,
co pamiętamy. Te historie zostały opisane tak,
jak opowiedzieli je ich bohaterowie.*

Papa Juan chciał mieć syna. Mężczyzna powinien mieć syna. Zwłaszcza w takich niespokojnych czasach.

Połowa lat osiemdziesiątych. Kolumbią wstrząsała brutalna wojna o wpływy i kokainę. Kartele z Cali i Medellin sterowały krajem, zastraszając, porywając i mordując wpływowych polityków oraz ich rodziny. Pablo Escobar wszedł do parlamentu, jedną ręką kierując olbrzymią organizacją przestępczą, a drugą budując szkoły i szpitale w biednych miastach zachodniej Kolumbii. Na ulicach wybuchały bomby. Zamaskowani sicarios strzelali do urzędników z motocykli. W dżungli, w której nie ma żadnych dróg, wojskowe oddziały polowały na partyzantów. W lesie były również poukrywane laboratoria karteli.

Do USA co roku przemycono trzysta tysięcy ton kokainy o wartości dwudziestu pięciu miliardów dolarów. Stany Zjednoczone pompowały niebotyczne pieniądze w niszczenie upraw koki, które odrastały szybciej, niż znikwały. Żyzna kolumbijska gleba i tropikalny klimat zamieniły cały kraj w fabrykę białego proszku.

Sporo mówiło się o powiązaniach między kartelami i lewacką partyzantką M-19. Rząd zajmował się układem ekstradycyjnym z USA. Planowano sądzić szefów karteli przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. M-19 przypuściła szturm na Sąd Najwyższy, mordując sędziów i niszcząc dokumenty procesowe.

Bracia Ochoa, najbliżsi współpracownicy Escobara, odpowiedzialni za operacje międzynarodowe kartelu, zastraszała zamachami cały wymiar sprawiedliwości. Zapowiedzieli, że za każdego przemytnika poddanego ekstradycji zginie dziesięciu sędziów.

Jorge Ochoa został odnotowany na liście dwudziestu najbogatszych ludzi świata „Forbesa”, a niedługo później – aresztowany. Mimo mocnych dowodów ulaskawiono go i wypuszczono na wolność. Ministra sprawiedliwości zastrzelono w samochodzie, gdy zatrzymał się na światłach.

Najważniejszym hasłem kampanii kandydującego na prezydenta Luisa Carlosa Galana było rozprawienie się z kartelami narkotykowymi. Został zastrzelony, gdy wchodził na scenę, by wygłosić przemówienie przed dziesięcioma tysiącami ludzi.

Bomby wybuchaly, a w klubach grano salse. Kolumbia plakala i tańczyła.

Papa Juan chcial miec syna. W rodzinie powinien byc syn. Dalby mu na imie Juan, po ojcu. Urodzila sie coczeczka. Niech bedzie Juanita. Juanita Peña.

Afrykanska słońce pali wczesnie. Jeszcze na dobre nie wyjdzie, a upal juz niemozliwy. W srodku dnia wszystko chowa sie pod akacje, w jamy i miedzy skały. Byle jakoś uciec od spiekoty. Busz zamiera na kilka godzin.

Rok 1992. Reilly Travers, lat sześć. Rudawy blond, masa piegow na jasnej twarzy.

W tle afrykanska farma jak z filmu. Po jednej stronie drogi uprawy tytoniu i groszku cukrowego, maszyny, traktory i silosy zbozowe. Po drugiej rezerwat dzikiej przyrody. Prawie piec tysiecy hektarów. Tysiac piecset duzych zwierzat i niezliczona rzesza mniejszych. Antylopy, guzce, zebry, szakale. Lwy, bawoly i pawiany.

Gdy Reilly wychodzil przed dom, widzial słońce powalajace drzewa. Przez okno do sypialni regularnie zagladala mu zyrafa. Jego mama stale leczyla w domu dzikie zwierzeta. Hiena spala z nia w lozku, a guziec – w bielizniarce. Reilly na nosorozcu jezdzil jak na kucyku, gepardy przeganiat, rzucajac w nie patykami, a wuze łapal za ogon i dla zgrywy wrzucal rodzicom do lozka.

Takich rezerwatow dzikiej przyrody bylo wtedy w Zimbabwe pelno, co najmniej trzysta. Najczesciej stanowiły czesc nalezacych do bialych prywatnych farm uprawnych. Poza granicami rezerwatow dzikich zwierzat nie widziano juz od dawna.

Farma Traversow nosi nazwe Imire. W jezyku szona oznacza to „miejsce spotkan”.

Reilly jest najmłodszy z trojga rodzenstwa. Ma siostrę Kate i brata Bruce’a. Gdyby Bruce nie byl jego bratem, bylby najlepszymi przyjaciolmi.

Chłopcy Traversow od switu do zmroku biegali boso po buszu, w ktorym wszystko parzy, drapie i kluje. Pobudka o piatej, zęby i sniadanie. A potem wędka, proca albo wiatrowka i wymarsz z domu. Nie mieli prawa pojawic sie w nim do kolacji.

Życiem na południowoafrykańskiej farmie rządzą proste zasady. Jak wpadniesz w kłopoty, jesteś zdany na siebie. Nie wyciągaj skorzypionów spod kamieni, bo mamy nie będzie obok, jeśli coś cię ukąsi. Biegaj szybko i naucz się wspinać na drzewa, bo za każdym krzakiem może siedzieć bawół albo hipopotam.

I nie płacz, gdy boli. Chłopcy Traversów nie płaczą.

Mówi się „Afryka”, jakby była jedna. A Afryka to pięćdziesiąt kilka państw, setki języków, klany, szczepy, królestwa. Wszystko różne.

Już lepiej byłoby powiedzieć, że są trzy Afryki. Na północy piaski pustyni. Potem pas zielonej dżungli. A na samym dole busz.

Ale ponad wszelką wątpliwość Afryki są przynajmniej dwie – biała i czarna.

Początek lat dziewięćdziesiątych. Runął mur berliński, padła żelazna kurtyna. Toczy się wojna w Zatoce Perskiej, powstaje Unia Europejska, ogłaszają pomysł na internet. Świat jest świadkiem przyspieszenia historii.

A w Ugandzie tylko jedno miasto, Kampala, obok którego Brytyjczycy zbudowali lotnisko. Zaraz obok Jezioro Wiktorii, podobno wielkie jak morze, gdzie rybacy łowią ryby, wrzucając do wody dynamit. Marggie nigdy jeszcze nie widziała ani samolotu, ani jeziora.

Kilka godzin na wschód od Kampali leżała wieś Nyize. Leży do dziś, tyle że dużo bliżej miasta. Bananowce i drzewa mango, jakiś figowiec, poletka kukurydzy, bezpańskie psy.

Chata z gliny przetykanej patykami, klepisko zamiast podłogi, dach ze słomy wiązanej w pęczki. Typowa zabudowa tamtych lat. W miejsce ubikacji dziura w ziemi przy drzewku kawowym za chatą. Zamiast kąpieli – woda z kanistra.

Mama urodziła Marggie, mając trzydzieści sześć lat, jako dziewiąte dziecko. Ojcowie znikali, gdy tylko brzuch się zaokrąglił, i nigdy już nie wracali. Najstarsze dzieci dawno opuściły dom, niektórych Marggie nawet nie znała. Wszystkie matka wychowywała sama.

Matka miała tylko trzy klasy szkoły podstawowej. Ledwo czyta i pisze, ale całe życie pracowała, żeby wszystkie jej dzieci mogły skończyć szkołę. Wychodziła z chaty pierwsza, wracała ostatnia. Czasem udało jej się zarobić czterdzieści dolarów miesięcznie.

Dzieci miały się uczyć i nie kraść. Nie twoje, nie zrywaj, powtarzała matka. A jak któreś jednak zerwało mango czy banana, kara bolała przez tydzień. Porządny człowiek nie kradnie.

Ciężko było samej wychować dzieci na porządnym ludzi. Pomagały groźby i dyscyplina, czasem sąsiedzi, a czasem Biblia. Wszystkie dzieci w domu nosiły biblijne imiona.

Margret Kizza, zwana Marggie. Czarne kręcone włosy przystrzyżone niemal do gołej skóry. Okrągła twarz, której w mroku prawie nie widać. Dziewięć z dwanaścioro dzieci matki. Nyize, centralna Uganda, środek tej „czarnej” Afryki.

Springfield w stanie Missouri. Tak zwany Środkowy Zachód, obrzeża Biblijnego Pasa, gdzie Bóg i strzelba w sieni obronią przed każdym złym. Kukurydziany stan pełny rednecków żyjących w przyczepach kempingowych i domkach z gotowych komponentów stawianych na pustakach lub starych oponach. Ameryka najdalej jak się da od kabrioletów Los Angeles i romantycznych pocałunków na szczycie Empire State Building. Kraj solidnych, porządnym ludzi, próbujących spłacić rachunki i przeżyć do pierwszego, a jak starczy, to naprawić zęby.

Równe rzędy domów przy ulicach rozłożonych na planie kratki. Przedmieścia Ravenwood, sypialnia Springfield, które samo w sobie ma senny charakter. Niskie domy, przystrzyżone trawniki, kosz nad podjazdem, zgniłe liście w rynnach i odśnieżanie samochodów.

Casey za kieszonkowe kupił pierwszy komiks z Batmanem. Komiksy już zawsze będą jego wielką pasją. Jest skautem, bo ojciec kazał mu się czymś zająć. Gra w bejsbol, bo ojciec kazał mu zmęźnić. Ogląda kreskówki z superbohaterami i jeździ na rowerze po uliczkach, gdzie samochody turlają się kilka mil na godzinę. Ma kosić trawnik za domem i wynosić śmieci.

Na śniadanie jada placki z masłem orzechowym zwinięte w rulonik jak meksykańskie burrito. Złości się, gdy w domu zabraknie mleka albo słodkich płatków Captain Crunch. Nie je ryb, a mama wciska mu je przy obiedzie, udając, że to indyk.

Zbliżały się święta, a jak święta, to rodzinne zdjęcie. Casey nie nawidził tego jeszcze bardziej niż gry w bejsbol. Na takie okazje w każdej rodzinie dzieci trzeba było wyciągać z łóżka siłą. Umyć wło-

sy, ładnie się ubrać, włożyć wyprasowaną przez mamę koszulę, wsiąść do starego białego vana, przejechać do umówionego zakładu, gdzie pan fotograf rozwinie specjalne tło, włączy światła, ustawi wszystkich. Tata wyżej, mama niżej, dzieci na specjalnym podeście, żeby zachować proporcje. U mamy włosy prosto od fryzjera i sukienka w niebieskie kwiaty, z bufiastymi rękawami. Brat w koszuli z krawatem, Casey w dziecięcym garniturze z muchą.

Spojrzyć tu, uśmiech, błysk flesza. Jeszcze raz. I tak dwie godziny, w różnych konfiguracjach.

Sztuczne życie zamrożone w odświętnym kadrze studia fotograficznego. Szczęśliwa rodzina bez trosk i zmartwień. Wyślą to zdjęcie potem przyjaciółom w formie kartek świątecznych, a może powieszą na ścianie, wkleją do pamiątkowego albumu. Rodzina Kimbrelów – Ken i Karen, starszy brat Jason oraz Casey, lat sześć. Rok 1992.

Mika Puhakka, Finlandia. Dom w Kajaani, niewielkim mieście na rubieżach Europy, w środku lasu pod granicą z Rosją. Mama, tata, młodszy brat Niko i mały rozwrzeszczany pies Nöpö, który w ogóle nie przypomina za bardzo psa.

Na zamrzniętym stawie Mika gra z bratem w hokeja. Do szkoły jeździ rowerem lub na nartach, chociaż mógłby i na łyżwach. Zimą ścieżki rowerowe w Kajaani oblewane są wodą i pokrywają się lodem, tworząc łyżwostrady. Na specjalnych sankach dorośli wożą po nich do przedszkola dzieci, a potem wracają z zakupami. Przed domem co chwila przejeżdża ktoś na biegówkach, a ludzie maszerują okutani, że tylko oczy widać.

Spokojne osiedle, samochodów mało. Drzewa, jeziorko, rzędy podobnych domków tej samej wielkości. Mikroświat bezpiecznego dzieciństwa.

Mika przez kilka miesięcy w roku nie ogląda słońca. W trakcie zimy pojawia się tylko trochę szarości w środku dnia, a tak to ciemno całą dobę. Noc polarna i zorze, i śnieg na strzelistych świerkach. A potem polarne lato, gdy słońce nie zachodzi. Na dworze ciepło, ale nie bardzo można spać przy otwartych oknach. O północy jasno jak w dzień, a do tego głośno, bo całą noc wariują ptaki, komary tną, żaby rechocą.

Mika jest troszkę tłustawy. Często rywalizuje z Niko, który więcej je. Na obiad i na kolację obaj napychają się po uszy, że czasem ledwo mogą się dowlec do łóżka. Mika może też trochę za bardzo lubi słodczyce, zwłaszcza mleczną czekoladę Fazera i truskawkowe pianki w kształcie krokodylków. Tak czy owak, jest nieco okrągły, nie da się ukryć.

Wieczorami grają z Niko w planszówki, bawią się w bandytów i gliniarzy, ścigają się sterowanymi samochodami. Walczą chodzącymi robotami na baterie, a robot Miki jest większy niż robot Niko, więc zawsze z bratem wygrywa.

Jak każda fińska rodzina Puhakkowie mają domek w lesie, skuter i saunę w przybudówce, z której skacze się do jeziora. Woda nawet latem jest chłodna. Zimą bywa i minus czterdzieści, do tego dwa metry śniegu, a upalne miesiące krótkie. Jezioro rzadko zdąży się ogrzać.

W słoneczny dzień, gdy jest plus dziesięć, Mika wychodzi na dwór w podkoszulku i nie czuje zimna. Mama jednak powie „włóż czapkę” zawsze, przy każdej temperaturze. Co roku będzie w prezencie kupować Mice grube wełniane skarpety. Dostanie je nawet po trzydziestce. Mama Miki przez całe życie bardzo będzie się troszczyć o swoje dzieci.

W domu jest ciepło. Kominek. Piecyk. Kaloryfer. Jest już wideo i komputer, na którym Mika gra w Wolfensteina. Ma zegarek, tornister i bluzy z kapturem, własne rakiety śnieżne, narty i kask chroniący głowę. Na urodziny jest tort z truskawkami, a na Gwiazdkę z Laponii przyjeżdża Święty Mikołaj i przywozi prezenty. Mika ma własny rower i fajne kolorowe rękawice. Ma w gruncie rzeczy wszystko, o co poprosi.

Kanae miała psa, choć inne dzieci hodowały cykady lub jaszczurki. Takie słodkie te jaszczurki, i jeszcze ogon im odpada, a potem odrasta na nowo. Każdy chciałby mieć jaszczurkę.

Państwo Takasaki mieszkali w piętrowym domu w prefekturze Kanagawa pod Tokio. „Pod” albo „w”, trudno powiedzieć. Uznaje się, że w Tokio mieszka osiem milionów ludzi, choć formalnie to zlepek wielu miasteczek i prefektur. W centrum neony i wieżowce, a w Kanagawa spokojnie i zielono. Kilka ulic, niskie domki. Peryferia.

Kanae rodziców widywała rzadko, choć mieszkali razem. Tata był urzędnikiem w czarnym garniturze z teczka. W pracy od świtu do nocy. Pięknie rysował i wymyślał bajki, które opowiadał Kanae na dobranoc. To były najczęściej jedyne chwile dnia, gdy go widziała.

Mama uczyła w liceum. Wychodziła o siódmej, wracała o osiemnastej albo i później. Wolne mieli tylko niedziele. Jeśli ktoś się Kanae opiekował, to dziadkowie.

Tuż przed domem był park. Spędzała w tym parku dzieciństwo, na szyi nosząc klucz. Zresztą tego czasu w parku też nie było za wiele. Obiad w szkole, lekcje w szkole, wszystko w szkole.

Do domu Kanae wracała po siedemnastej. Miała siedem lat.

Życie Kanae, jak każdego Japończyka, było zaplanowane od urodzenia. Pierwsza tradycyjna ceremonia przywitania jej w społeczności odbyła się, gdy miała trzy lata. Potem następna, cztery lata później. Pamięta głównie ładne kimono i to, że pierwszy raz upięto jej włosy w tradycyjny kok. I że były specjalne podłużne cukierki. Cukierki najbardziej ją cieszyły.

Te ceremonie to jak odhaczanie kolejnych punktów planu na szczęśliwe życie. Będzie je odhaczać też później, spełniając następne oczekiwania.

Gdy dziecko zaczyna podstawówkę, już wtedy wymaga się od niego, by było jak najbardziej samodzielne. Czasem nawet kilkulatki chodzą same do szkoły. Są dla nich specjalnie przygotowane i oznaczone trasy, których mają się trzymać, ale często idą bez opieki.

Szkoła podstawowa to nie czas na zabawę. Trzeba ją skończyć z jak najlepszymi ocenami, żeby dostać się do dobrego gimnazjum, a potem do liceum, najlepiej prywatnego. Dobre liceum to dobre studia. A dobre studia to dobra praca.

W szkole Kanae miała się uczyć. To był jej jedyny obowiązek. Jedyńy, bo zajmował dziesięć godzin dziennie. Oprócz lekcji w szkole są jeszcze zajęcia dodatkowe. W czwartej klasie każdy musi sobie wybrać pasję. Sztuka, sport, muzyka. Wybierasz raz i potem najczęściej idziesz tą ścieżką do końca.

W teorii te zajęcia dodatkowe nie są obowiązkowe, w praktyce – tak, przynajmniej w wielkim mieście, w szkołach dla typowej klasy średniej. Mogą być brane pod uwagę przy egzaminach do liceum, na

studia. Nie można ich nie zaliczać, gdy wszyscy inni zaliczają. To jak na własne życzenie odpaść od peletonu.

Na studiach Japończyk przekracza próg dorosłości. Dwadzieścia lat. Dwa lata wcześniej może już głosować w wyborach, ale tak naprawdę dopiero po dwudziestce zaczyna o sobie realnie decydować. Wtedy też pojawia się kolejny cel: znaleźć męża lub żonę. Mąż ma być dobrze sytuowany, wykształcony, zaradny, solidny. Ma zapewnić rodzinie bezpieczeństwo.

W tamtych latach powszechne było przekonanie, że absolutorium to ostatni dzwonek na ślub. W ostateczności – w trakcie pierwszego roku pracy. Pracę też trzeba znaleźć przed końcem studiów. Potem to będzie prawie niemożliwe.

Po studiach Kanae miała pracować przez jakiś czas, a potem urodzić dziecko. I wtedy wszystkie punkty od nowa – dla kolejnego pokolenia. Trzy, siedem lat, podstawówka, zajęcia dodatkowe, prywatne liceum, studia, mąż, praca.

To był taki piękny, bezpieczny plan. Gwarantował świetne życie.

Nieopodal zaczynała się Kalkuta, ale to tak, jakby zaczynał się inny świat. Głośno, tłoczno, pełno aut. W Baranagar zaś parterowe domki, każdy sobie. Koguty, studnia, chlewik, staw z rybami. Szumiące drzewa, palmy bananowe, muchy. Prowincjonalne Indie.

W Baranagar ludzie chodzili dobrze wyspani. Wielu spało nawet od zmierzchu do świtu. Po zmroku było ciemno, bo nie dociągnięto jeszcze prądu. Słońce gasło, ludzie szli spać.

Niektórzy zapalali świeczki, przed jakimś domem żarzyło się palenisko. Ktoś przeszedł po omacku, drogę znał na pamięć. Ktoś się roześmiał, gdzieś szczeknął pies. W ciemności słychać było tylko szepoty. To sąsiedzi wychodzili przed dom, siadali na progu i rozmawiali, nie widząc się. Byle czas jakoś zleciał. Ale by było, gdybyśmy mieli prąd. Byłby wiatrak, telewizor. Lodówka. Można by pracować dłużej, ugotować na jutro. Mogła mnie matka lepiej wydać za męża, w jakiejś okolicy, gdzie światło jest, a nie tak jak tu.

Czuć było palonym krowim łajnem. Nawet przyjemny zapach, słodkawym. Odgania komary, a z nimi dengę. Na dengę się umiera.

W nocy słycać było szakale. Nad ranem piały koguty, ptaki zaczynały wrzeszczeć w koronach drzew. Wszyscy zrywali się o brzasku, byle zrobić jak najwięcej przed zmrokiem.

Wydeptaną gruntową dróżką można było dojść do ulicy prowadzącej do większej drogi, a tą dojechać do Kalkuty. Ulicą raz na godzinę przejechał samochód, jeszcze rzadziej autobus. A tak to tylko dzwonki rowerowych riksów i snujący się bez celu sąsiedzi.

Kobiety w okolicy bardzo dbały o to, by bogini Kali była szczęśliwa. Codziennie składały ofiary z ryżu, bananów, niektóre nawet ze słodczy. Poleżały te ofiary godzinę czy dwie, a potem je zabierano i jedzono z całą rodziną. Tak jakby bogini wystarczyło, że na słodczyce popatrzy.

Ciocia wolała składać kwiaty, które wędną. Zupełnie jakby ich życie przechodziło na tamten świat. Kali krwawa, z długimi zębami, wężami we włosach, kilkoma parami rąk. Groźna, mściwa. Nie można jej przecież oszukiwać.

Madhuri nie znała zbyt dobrze swojej mamy. Mama była chora, mówią, że nie mogła karmić piersią. Córkę oddała pod opiekę bratu. Madhuri mieszkała z wujkiem i ciocią, ale mówiła do nich „mamo” i „tato”. To są dla niej rodzice.

O prawdziwym ojcu słyszała niewiele, ciotka nie chciała o nim opowiadać. Raz tylko wspomniała, że to nie był dobry człowiek.

Madhuri wstała o świcie, jak co dzień. Pozamiata, przyniesie wodę i trochę suchego krowiego łajna na opał, a potem pójdzie się bawić. Będą strącać z drzewa mango i będą wyścigi. Kto pierwszy, ten lepszy. Kto złapie owoc, ten mistrz. Potem i tak się podzielą, nikt nie je sam. Będą skakać na skakance i grać w kitkit. Podskakiwać na jednej nodze i kopać nią kamyk do mety, aż ktoś się przewróci i będzie śmiesznie.

Pewnie spotka wracającego z pracy Santosha. Poczochna ją po włosach, uszczypnie, spyta jak dzień, a potem pójdzie do siebie.

Santosh będzie wkrótce mężem Madhuri. Ich rodziny uzgodniły to, gdy była jeszcze w brzuchu mamy.

Cały świat Madhuri stanowił kwadratowy wycinek dzielnicy zwanej mahallą. W środku domy, dookoła kilka ulic. Przy ulicach czekający riksarze i sklecone z desek małe sklepiki ze wszystkim, co zmieściło się na półkach. Handlarze owoców guawy i panifoli. Sprzedawcy indyjskiej herbaty z mlekiem na szklaneczki. Bezpańskie psy i upstrzone girlandami krowy przy drodze.

Na środku mahalli stoi studnia. Przez cały dzień łańcuch chrobocze po cembrowinie.

Wiadro mozolnie jedzie w górę. Cisza, ktoś przelewa wodę do baniaka. Plusk wiadra spadającego z powrotem do wody.

Chrobot. Cisza. Plusk.

Chrobot.

Do tej studni stoi kolejka. Rusza się wolno, więc czasem czeka się i godzinę, dwie. Woda jest potrzebna. Do prania, gotowania, mycia. Ludzie stoją w kolejce, a komary tną jak wściekle. Lubią takie zacienione, wilgotne miejsca. Odejść nie można, bo straci się swoje miejsce, trzeba będzie dłużej czekać.

Przy studni ludzie również się myją. Przy wszystkich, na widoku. Mężczyźni w przepaskach na biodrach, w kucki. Kobiety owinięte sari. Mydliny płyną po ziemi, wysychają w słońcu. Obok ktoś wymurował mały urynał. Śmierdzi z niego cały dzień. Mało komu chce się ciągnąć wiadro, żeby go przemyć.

Studnia stoi przed domem Madhuri. Gdy gotuje na ziemi, przy drzwiach, obok siedzą ludzie z kolejki, rozmawiają. W mahalli nie ma tajemnic.

Kiedy się kończy dzieciństwo? Gdy masz sześć, siedem lat? Dzieścięć? Gdy pierwszy raz wychodzisz sam z domu? Gdy choćby przez chwilę jesteś zdany tylko na siebie?

– Śpij, córeczko, śpij...

Tropikalna gorączka nie chciała ustąpić. Buenaventura pełna była malarii, komarów i portowego życia. Duszne, lepkie miasto. Nawet plaże szare, jakby zmurszałe. Na ścianach wilgoć malowała plamy, domy gniły od wewnątrz. Wieczorami po ulicach niosły się przytłumione dźwięki currulao, afrykańskie rytmy płynęły po wodzie zatoki.

Między latarniami przemykały cienie. Mówili, że to złe duchy. Juanita w kącie widziała jakąś postać. Może to bruja, wiedźma, może coś innego.

– Anyż, ruta, nagietek. Wypij, kochanie.

Dym oczyści ze zła. Czerwona nić ochroni. Madre Selva nieokielznana, szanuj ją, dziecko, a będzie cię bronić. Matka Dżungli nie zapomina. Wystąpisz przeciwko niej, zemści się okrutnie.

Bywali czasem u jakiejś kobiety na peryferiach miasta. Miała w domu pełno słoików i buteleczek, jakieś napary, zioła, nawiązy. Trzymała też pancernika, który chodził po tapczanie. Juanita bawiła się z tym pancernikiem, gdy mama szeptała o czymś, pytała, słuchała odpowiedzi. Ktoś dotykał jej głowy otwartymi dłońmi, były płonące świece. Do Nowego Świata przez ocean dotarło dużo więcej niż tylko niewolnicy.

Juanita magii nie bała się nigdy, ale rekinów boi się do dziś. Jej ojciec jest biologiem morskim. Przy nim nie można było spokojnie zjeść obiadu. Za każdym razem gdy na talerzu lądowała parująca ryba, ojciec przypominał sobie wszystko, co o niej wiedział, szczegóły wskazując widelcem na okazie obiadowym. Zanim skończył o skrzelach, migracjach i płetwach grzbietowych, wszystko dawno zimne.

Gdy tylko zanurzała stopę w oceanie, ojciec od razu opowiadał, co tam może na nią czekać. Nasłuchiwała się o gatunkach rekinów, atakach na ludzi, śmiertelnych pogryzieniach.

Juanita nigdy w życiu nie widziała rekina, ale się ich boi. W Kolumbii wiele osób boi się tak jakby z przyzwyczajenia. Ludzie na przykład nie trąbią, gdy ktoś zajedzie im drogę. Większość dlatego, żeby nie prowokować konfliktów, po prostu z uprzejmości. Ale fama idzie, że to ze strachu, bo nigdy nie wiesz, kto siedzi za kierownicą.

Juanita wychowywała się w porcie, w którym pracował jej ojciec. Dusza towarzystwa, znał kilka słów w każdym języku. Wszyscy go lubili. Miała na pęczki „wujków” z całego świata, którzy przywozili egzotyczne prezenty. Wujek z Korei przywiózł kraba, z którym chciała się bawić. Krab uszczypnął ją boleśnie. Wujek natychmiast odłamał mu szczypce.

Tata bardzo dużo podróżował. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany. Do tego elegancki, szarmancki, z błyskiem w oku. Typ światowca, miał dziewczynę w każdym porcie. Zanim poznał mamę, oczywiście.

Opowiadał o tych podbojach z dumą, pokazywał zdjęcia. Wszystkie kobiety piękne, interesujące, jak nie tancerka, to aktorka albo śpiewaczka. Mama tylko przewracała oczami. To dawne czasy, ustatkował się po ślubie. Usidliła go w odpowiednim wieku, już po czterdziestce.

Juanita też była zawsze pierwsza do ludzi. Pamięta pierwszy dzień bez rodziców, gdy mama odprowadziła ją do przedszkola. Weszły do środka, gdzie trwały właśnie wycinanki. Juanita rzuciła się po kredki i nożyczki. Mama stała jeszcze chwilę, żeby się upewnić, że córeczka się nie przestraszy, nie będzie płakać. Juanita odwróciła się po minucie, zobaczyła ją stojącą w drzwiach.

– Mamo, zostaw mnie już, wracaj do domu!

Z przedszkola z płaczem wyszła mama.

Wujek zabraniał oddalać się od mahalli. Zabiorą cię albo się zgubisz, mówił. Nie wolno, bo jak ja cię potem znajdę? Bawić się można było w domu i wokół domu.

Wujek codziennie wyjeżdżał do pracy daleko, nawet do Kalkuty. Wracał przed zmierzchem. Czasem przywiózł Madhuri jakiś nowy owoc albo gumę do żucia. Po co masz wychodzić dalej. Przecież niczego ci tu nie brakuje.

Madhuri nigdy nie złamała tego zakazu. Bała się, że wujek odeśle ją z domu albo przestanie kochać.

– Pamiętaj, że gdy rozmawiasz ze starszym, nie wywyższasz się, nie stawiasz go w niewygodnej sytuacji...

– Pamiętaj, że przed wejściem zdejmujesz buty...

– Pamiętaj, że nie odchodzi się od stołu, jeśli nie zjesz wszystkiego na talerzu...

– Pamiętaj, że niegrzecznie jest kichać przy innych...

– Pamiętaj, że porządna dziewczyna nosi...

– Pamiętaj, że...
